# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 9. października 1920. Nr. 41.


# Jenerał Józef Haller w Częstochowie



**Jen. Józef Haller (×) w towarzystwie miejscowych oficerów na dworcu kolej. częstochowskim.**

# Jen. Józef Haller w Częstochowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Nazwisko jenerała Józefa Hallera zajęło w dziejach polskiej armii jedno z najpoczestniejszych miejsc. Działalnością swą od początku wojny, aż do ostatnich pogromów bolszewików pod Warszawą, dał on dowód, że jest żołnierzem z kości i krwi, a dla dobra i honoru Ojczyzny gotów jest do najdalej idących poświęceń. Zasługi jego oceni historya, ale uznało je i współczesne społeczeństwo, dla którego jest prawdziwym bohaterem, sławnym na równi z Sobieskim, Kościuszką, Poniatowskim. I nic też dziwnego, że przy tworzeniu armii ochotniczej jemu, a nie komu innemu poruczono jej organizacyę i naczelne dowództwo. Przykład wodzów podziałać musiał na ochotników, dokładali też wszelkich starań, by pójść w jego ślady i zyskać jego pochwałę.

Społeczeństwo polskie nie szczędzi też jenerałowi Hallerowi dowodów sympatyi, która mu też osładza niejeden przykry zawód, jaki się nieraz staje jego udziałem. Znosi je, jako dopust Boży, mając to wewnętrzne zadowolenie, że spełnił to, co doń należy, godnie, godniej może, niż inni.

W końcu września zatrzymał się jenerał Haller w przejeździe przez Częstochowę, aby złożyć hołd Królowej Korony Polskiej na Jasnej Górze. Wagon sypialny, którym przybył w nocy, zatrzymał się kilka godzin na stacyi. Rano udał się jenerał do klasztoru, aby wysłuchać Mszy św.

Gdy się rozeszła po mieście wieść o przybyciu tak miłego i pożądanego gościa, urządziła ludność częstochowska na prędce skromne, serdeczne i entuzyastyczne powitanie, w którem wzięła udział wojskowość i sfery cywilne, rade, że go widzą między sobą bodaj na tak krótko.

Mieszkańcy Częstochowy stwierdzili czynem, że Polska ocenia należycie zasługi swych bohaterów.

# Propaganda na rzecz armii ochotn. w Częstochowie.

Myli się, kto jest zdania, że niebezpieczeństwo, jakie groziło nam ze strony bolszewików, zostało już zupełnie usunięte, a niebawem może się ponowić i to ze zdwojoną siłą, gdyż od północnego wschodu przybył nam nowy wróg w osobie Litwy, która jest tylko narzędziem w ręku bolszewików i sprzymierzonych z nimi Niemców. Toczą się wprawdzie w Rydze układy pokojowe — obaj przewodniczący delegacyi, Dąbski i Joffe, są podobno „najlepszej myśli", nikt jednak nie może powiedzieć, czy te rokowania doprowadzą do celu, ze względu na bardzo niejasne stanowisko Rosyi sowieckiej, która pomimo ostatniej porażki nie straciła dotąd nadziei, że będzie mogła podyktować nam takie warunki pokojowe, jakie uzna za stosowne.

Nie należy zatem opuszczać rąk bezczynnie, ale myśleć poważnie o przyszłości i dokładać wedle możności sił i starań, aby armii naszej strzegącej granic na niczem nie zbywało, aby szeregi jej wzmacniały świeże zaciągi, aby była zaopatrzona we wszystko, co niezbędnem jest dla żołnierza w polu.

Zbliża się zima, zapotrzebowania też stają się większe, trudności zaś, z jakiemi przy ich zaopatrywaniu musi się walczyć, mnożą się z dnia na dzień. Dowozy z zagranicy zatrzymywane są przez sąsiadów, którzy na rzecz sowieckiej Rosyi ogłosili neutralność, nie trzeba zaś zapominać, że jesteśmy otoczeni przez nich ze wszech stron, a ten kawałek wybrzeża morskiego jaki posiadamy, pozbawiony jest portu, który umożliwiłby nam swobodne handlowe komunikowanie się z zagranicą.

Bolszewicy nie ustają w pracy. Trocki ogłasza w sowieckiej prasie entuzyastyczne artykuły, zapewniające o ostatecznem zwycięstwie i organizuje rozbitą armię, w czem mu pomagają gorliwie Niemcy, Łotwa... i Koalicya. Niemcy większość rzekomo internowanych bolszewików wypuściły z Prus Wschodnich nawet z bronią, Litwa dozwoliła im przejść przez swe terytoryum, niektórzy członkowie Koalicyi dostarczają materyału wojennego. U nas robi się też tu i owdzie nawet bardzo wiele, na ogół przecież nie tyle, ile się powinno, co zaś najgorsze, są jeszcze nawet całe stronnictwa, mieniące się narodowemi, które jakgdyby nie zdawały sobie sprawy z całej grozy położenia naszego, starają się wyzyskać sytuacyę dla swych celów partyjnych. W ten sposób rozbija się wewnętrzny front, potrzebujący jak największej spoistości.

Nie brak przecież i pocieszających objawów serdecznego zajęcia się losami Ojczyzny i gotowości pospieszenia jej z pomocą.

Podobne usiłowania ujawnia Częstochowa, której mieszkańcy zajmują się gorąco sprawami ogółu, jak to mieliśmy sposobność skonstatować przy sposobności wzmianki o propagandzie na rzecz pożyczki Odrodzenia. Pochód, jak świadczyły zamieszczone wówczas illustracye, wypadł wspaniale, ale też nie skończyło się tylko na nim. Agitacya zrobiła swoje, subskrybcya na rzecz pożyczki poszła doskonale.

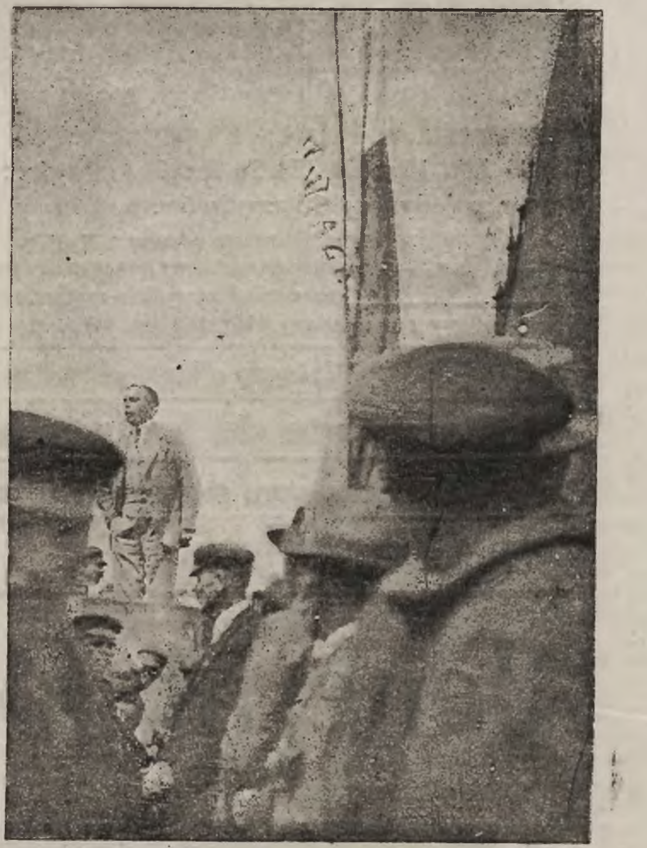
Wogóle ludność samej Częstochowy i jej najbliższych, bardzo przemysłowych okolic, daje na każdym kroku dowody zrozumienia sytuacyi. Bez względu na przynależność partyjną zabrano się do pracy narodowej jako wspólnego celu i w wielu fabrykach ofiarowano nadwyżkę pracy na rzecz państwa.

I przy formowaniu armii ochotniczej nie pozostała Częstochowa w tyle. I z pośród jej mieszkańców bardzo wielu pospieszyło do szeregów, nie szczędzono też ofiar na rzecz wojska, które strzegąc granic, dozwala na spokojną i bezpieczną pracę wewnątrz kraju.

Nie należy zapominać, że Częstochowa jako położona na samem pograniczu byłej Kongresówki i Śląska Górnego, może się znaleść bardzo łatwo



**Propaganda na rzecz armii ochotniczej w Częstochowie:** Kapelan załogowy X. Feche odbiera przysięgę od ochotników udających się na front.



**Propaganda na rzecz armii ochotniczej w Częstochowie:** Przemowa posła Piekarskiego na wiecu robotniczym.





**Propaganda na rzecz armii ochotniczej w Częstochowie:**

Ochotnicy 27 p. p. po przysiędze przed odjazdem na front.

Wiec robotniczy u stóp Jasnej Góry.

w ogniu, o którego rozpalenie tak bardzo Niemcom chodzi. Położenie to ocenia Częstochowa w całej pełni i tem energiczniej i chętniej zajmuje się świadczeniami na rzecz armii i interesuje się żywo jej losem. Propaganda na jej rzecz odbywa się stale i z bardzo dodatnim rezultatem. Do pełnienia służby zgłaszają się tacy, których z powodu młodego wieku przyjąć jeszcze nie można, nie brak i takich ochotników, którzy się do służby już nie nadają. Zapał i chęć służenia Ojczyźnie ogarnia tak starych i młodych. Mężczyznom dzielnie pomagają kobiety.

Agitacya odbywa się ciągle na publicznych wiecach i zgromadzeniach, w towarzystwach i instytucyach, we fabrykach i po warsztatach, każdy stara się dołożyć swą cegiełkę do ogólnego dzieła, nikt się nie ociąga, nikt nie protestuje nikt nie wichrzy. Niema stronnictw, są tylko Polacy, którzy powiadają sobie, że na politykę będzie dość czasu gdy się wojna ukończy.

Illustracye, które podajemy w niniejszym numerze, przedstawiają momenty agitacyjnej propagandy na rzecz armii ochotniczej, oraz wymarsz ochotników częstochowskich 27 p. p. na front bojowy.



**Propaganda na rzecz armii ochotniczej w Częstochowie:** Podp. Grabowski w otoczeniu ochotników 27 p. p.

## Nasze kresy zachodnie.

### Grudziądz.

Grudziądz nad Wisłą, oddalony o 50 kilometrów od Torunia, dziejami swymi sięga czasów bardzo odległych. Za Mieczysława I pogańscy Prusacy stworzyli sobie z niego miejsce obronne. Bolesław Chrobry w rzece Ossie, wpadającej tu do Wisły wbijał swoje słynne słupy graniczne. Konrad Mazowiecki sprowadziwszy Krzyżaków, nadał im ziemię Chełmińską, do której należał Grudziądz. Później miasto to było pod panowaniem książąt pomorskich, poczem znów Krzyżacy je zdobyli i zamek jego umocnili. Zamek po zwycięstwie grunwaldzkim (1410), poddał się wojsku Jagiełły. Powrócony na mocy pokoju Krzyżakom, Grudziądz należał do miast, biorących udział w tak zwanem „bractwie jaszczurczem", zawiązanem do walki przeciw Zakonowi. Kiedy Stany Pruskie poddały się Polsce, wskutek czego powstała wojna trzynastoletnia, król Kazimierz Jagiellończyk zwołał w roku 1454 do Grudziądza sejm pruski, na którym, jak pisze Bielski w swej kronice „Unia się dostateczna stała ziem Pruskich z Koroną Polską, ażeby też senatorowie ich w Radzie jako i koronni siadali i wspólnie o dobru Rzeczypospolitej radzili, króla żeby także wspólnie z nimi obierali, tylko żeby przy prawach i zwyczajach swych dawnych zostali" itd. Zygmunt August nadał luteranom tutejszym wolność i oddał im kościół św. Jerzego, na czem nie poprzestali lecz odebrali jeszcze katolikom farę. Zygmunt III. zatrzymał się w Grudziądzu jadąc do Krakowa na koronacyę (1587). Władysław IV. pod Grudziądzem urządzał „obroty wojskowe". Za najścia Szwedów za Jana Kazimierza, Grudziądz cztery lata pozostawał w ich ręku. Karol Gustaw był w nim kilka razy. Szwedzi prześladowali katolików, zabrali im kościoły, wypędzili Jezuitów, a kontrybucyami doprowadzili miasto do ubóstwa. Jerzy Lubomirski zdobył je szturmem w r. 1659 W r. 1703 znów Szwedzi opanowali Grudziądz, poczem przechodzili przez niego Sasi, Moskale i niszczyli kontrybucyami. W r. 1711 zamieszkał w nim chwilowo Piotr Wielki z żoną. Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski Fryderyk II. sprowadził tu niemieckich kolonistów i założył przy ujściu Ossy, o dwa kilometry od miasta obszerną i na swoje czasy mocną twierdzę. Fryderyk III. ze słynną z piękności żoną swą Ludwiką i z całym dworem zatrzymał się w Grudziądzu w ucieczce przed Napoleonem (1806). W następnym roku feldmarszałek pruski Courbierre dzielnie bronił twierdzy grudziądzkiej, za co mu na jej wałach postawiono pomnik.



**Propaganda na rzecz armii ochotniczej w Częstochowie:** Ochotnicy 27 p. p. podczas składania przysięgi.



**Nasze kresy zachodnie:** Ogólny widok Grudziądza.

Grudziądz liczy przeszło 20 tysięcy mieszkańców. Posiada pięć kościołów katolickich i jeden zbór protestancki. W korytarzach kościoła Jezuitów znajdują się obrazy jego fundatorów Działyńskich, Czapskich i t. d. Przy farze znajduje się kaplica Działyńskich z pięknymi pomnikami tej rodziny. W ratuszu na nowo wzniesionym w r. 1851 są portrety królów Sasów i Stanisława Augusta. Na uwagę zasługuje wodociąg, wybudowany według pomysłu Mikołaja Kopernika — woda do niego sprowadza się osobnym kanałem z rzeki Ossy.

Miasto o charakterze wybitnie średniowiecznym posiada bardzo wiele zabytków architektonicznych, a odznacza się wielką schludnością i nadzwyczaj malowniczem położeniem. Za czasów niemieckich stanowił Grudziądz jeden z ważniejszych punktów strategicznych jako położony w bliskości rosyjskiej granicy.

*B.*



**Nasze kresy zachodnie**: Widok z góry zamkowej na Wisłę i most kolejowy w Grudziądzu.

## Krakowscy artyści dla polskiego żołnierza.

Kiedy nawała bolszewicka zalała państwo polskie, całe krakowskie społeczeństwo podporządkowało się woli Komitetu Obrony Państwa. Nie pozostali w tyle artyści. Związek artystów scen polskich oddał wszystkich swych członków niezdolnych do służby frontowej do dyspozycyi K. O. P. Poszczególne „Gniazda" rozpoczęły swą działalność tem skuteczniejszą, że natychmiastową. Praca artystów krakowskich podzielona została między poszczególne grupy z przewodnikami tychże na czele. Każdego dnia urządzano we wszystkich szpitalach i poszczególnych oddziałach wieczorki lub przedstawienia; zapełniały się sale szpitalne i koszarowe szarą bracią żołnierską, słuchającą w niekłamanym skupieniu prelegentów z Wydz. oświat. K. C. P. i oklaskujących szczerze występujących artystów.

Lecz nie tu koniec działalności. Dzięki uprzejmości wszystkich dyrekcyi teatrów, odbywały się przedstawienia w tychże.

Jak przyjmował to żołnierz polski, świadkiem ci — którzy widzieli rozradowane twarze tych niecodziennych bywalców teatralnych, częstokroć załzawione, gdy na scenie pojawił się „Kościuszko", „Kosynierzy", „Kiliński". Podane poniżej statystyczne dane, są dowodem ogromu pracy artystów, pracy, której nie tylko podjęli się, ale sumiennie wykonali.

W czasie od 14 sierpnia do końca września urządzono następujące przedstawienia: W teatrze miejskim im. J. Słowackiego 3 razy „Kościuszko pod Racławicami", 2 razy „Kiliński", 2 poranki; w „Bagateli" 2 wieczory koncertowo-kabaretowe i 5 poranków; w miejskim teatrze Powszechnym „Obronę Częstochowy" i 3 poranki; w „Nowościach" 3 poranki. Na tych przedstawieniach było obecnych przeszło 20 000 żołnierzy. Prócz tego od było się 36 przedstawień (według programu i wskazówek D. M); w oddziałach załogi krakowskiej i w Kinie żołnierskiem w obecności około 30.000 żołnierzy. Prócz tego w każdą niedzielę odbywa się w Kinie żołnierskiem kabaret przy współudziale zaproszonych artystów. Ogółem przeszło 60 000 żołnierzy korzystało z działalności Związku Artystów Scen Polskich. Przedstawienia i koncerty nietylko uprzyjemniły częstokroć nudne chwile cierpiących, nie tylko były wytchnieniem dla żołnierzy po ćwiczeniach, ale były częstokroć lekcyą poglądową. Praca ta, to jedna z cegieł, rzuconych pod budowę naszej Ojczyzny.

Kierownikami tej akcyi są pp. Dr Nowakowski i Walewski artyści dram. teatru im. Słowackiego, duszą zaś przedstawień i znakomitym „conferencierem" p. L. Zbucki, artysta teatru „Bagatela". — Szczególnie zaś wyróżniają się jako bardzo dobrzy odtwórcy popularnych utworów pp. Malicka, Latajner, Bystrzyński, M.nowicz, Orwicz, Kopczyńska, Relewiczówna, Kaliciński, Wyrwicz, Zdańska, Dobrzański i inni.

Cały zespół artystów przydzielony został do referatu oświatowego Dow. M., którego kierownikiem jest podpor. Rudolf Lubaczewski, oddający się z wielkim zapałem pracy oświatowej wśród wojska.





**Krakowscy artyści dla polskiego żołnierza**: Zespół wykonawców i inicyatorów przedstawień dla wojska wraz z lekarzami szpitala Helclów.

**MATYLDA SERAO**

# UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA:
MARYA TOCZYSKA

12 I.

— Przybyłem właśnie z myślą zwierzenia się tobie, mistrzu — odpowiedział Robert, a takie silne wzruszenie odmalowało się na jego twarzy, że aż stary profesor zaniepokojony niem został.

— Chodzi więc o rzecz bardzo ważną — zapytał.

— Nie wiem... nie wiem — szepnął Robert.

Szybkim ruchem odrzucił połę płaszcza i wyciągnął z pod niej fatalną skrzynkę, poczem złożył na dużym stole założonym książkami i papierami.

Uczony obrzucił ją przenikliwem spojrzeniem.

— Co to jest? — zapytał.

— Ta skrzynka zawiera tajemnicę, profesorze.

— Twoją tajemnicę?

— Nie, nie moją. Tajemnicę dziwną, tragiczną może, i powierzam ją tobie mistrzu, jako człowiekowi, któremu wszystko jest znanem.

— A dlaczego to czynisz? — odparł Amanti, marszcząc brwi.

— Bo potrzebuję pana pomocy.

— W jakim celu?

— Aby odkryć prawdę.

— Nie dobrze jest poznawać wszystkie prawdy i nawet nie zawsze uczciwe.

— Być może! Ale teraz, kości już zostały rzucone i dla spokoju własnego sumienia, dla tego niebezpieczeństwa, które koło mnie krąży, muszę dotrzeć do prawdy — zawołał Robert silnie podniecony.

— Wytłómacz się jaśniej moje dziecko — prosił profesor zdziwiony jego wzruszeniem.

— Proszę otworzyć tę skrzynkę, profesorze!

— Czy powinienem to uczynić? Przypomnij sobie własne słowa, że tajemnica tu zawarta nie należy do ciebie.

— Jeżeli masz profesorze życzliwość dla mnie, jeżeli rzeczywiście kochałeś mego ojca i kochasz prawdę — otwórz tę skrzynkę, błagam cię!

Silvio Amanti nie wahał się dłużej. Pewną ręką uchylił wierzch czarnej skrzynki. Ucięta ręka ukazała się lekko i wdzięcznie wsparta na podłożu z aksamitu, przyozdobiona kosztownymi klejnotami błyszczącemi jak gwiazdy.

Profesor utkwił w nią przenikliwy, bystry wzrok, lecz twarz jego pozostała niewzruszona, bez wyrazu.

Po chwili odwrócił się i spojrzał na Roberta. Blady był bardzo i wargi jego drżały nerwowo.

— Co to jest Robercie? — zapytał uczony.

— Chciałem się właśnie dowiedzieć o tem od profesora.

— Widzę tylko rękę uciętą i nic więcej — odparł z prostotą profesor.

— Nic więcej? nic więcej?

— Piękną rękę kobiecą — dodał jeszcze Amanti z przyciskiem.

— I nie widzi w tem profesor naprawdę nic więcej?

— Nie! Jeżeli nie podasz mi jakich szczegółów widzieć w tem będę tylko rękę.

— Ta skrzynka przypadkiem dostała się do mnie.

— W jaki sposób?

— Kiedy jechałem z Neapolu do Rzymu.

— Któż ci ją dał?

— Ktoś ją zapomniał w pociągu.

— Ktoś, kto jechał z tobą?

— Tak. Człowieczek mały, garbaty o zielonych oczach.

— Nie wiesz nic więcej o nim?

— Owinięty był w płaszcz i brzeg kapelusza miał głęboko spuszczony na oczy.

— Czy jesteś pewnym, że ta ręka ze skrzynką została przez niego przyniesioną.

— Oczywiście.

— Całkiem pewnym? — nalegał profesor.

— Nie, nie całkiem — odparł z wahaniem Robert. — Przedział był pusty, nikt więcej nie podróżował ze mną — znalazłem skrzynkę pomiędzy mojemi bagażami.

— Kiedy?

— Wieczorem, w hotelu.

— Tak!

— Ona do niego należy, do niego, przysięgnę na to! — zawołał Robert z podnieceniem.

— Takie jest twoje przekonanie moralne?

— Oh! tak! tak!

— Ono wiele jest warte — wyrzekł Amanti, potrząsając głową, ale Robercie, zważ, że mylić się możesz. Zresztą ktokolwiek byłby właścicielem tej ręki, należy przedewszystkiem zbadać, kto on jest, nieprawdaż?

— Tak.

Należy się dowiedzieć, jakiej kobiecie ręka ta odcięta została i gdzie ona się znajduje.

Tak! i tylko ty jeden profesorze dociec możesz prawdy — wyrzekł z powagą Robert. — Liczę więc na twoją pomoc.



Raz po raz Robert pełne trwogi spojrzenie rzucał na drzwi laboratoryum, ale pozostawały one nadal hermetycznie zamknięte.

— Ja? Dlaczego ja właśnie!

— Czy wiedza nie jest wszechwiedzącą!?

— Ona wiele może — odparł powoli Silvio Amanti — lecz są tajemnice, które i dla niej mogą pozostać na zawsze zakryte.

— Jednakże cokolwiek byś drogi mistrzu uczynił, aby oświecić mój umysł i rozwiać wątpliwości, będzie skarbam dla mnie bezcennym.

— A więc Robercie, pozostaw mi tę rękę i odejdź.

— Mam odejść koniecznie?

— Tak. Przecież pragniesz, żebym się zabrał do badania. Muszę zatem przystąpić do analizy i obserwacyi.

— Błagam was, profesorze, nie wypędzajcie mnie stąd. Czekać będę godzinę, dwie i więcej, żebym tylko mógł dowiedzieć się czegokolwiek.

Profesor zrozumiał, że Robert był w stanie silnego podniecenia nerwów i że dla niego jest to rzecz bardzo ważna. Zgodził się więc chętnie aby zadość uczynić jego prośbie.

— A więc zaczekasz mój kochany — rzekł, powstając z fotela.

— Dziękuję! Dziękuję — szepnął Robert z wdzięcznością. — Profesorze — dodał po chwili nieśmiało — gdzie pan idzie?

— Tam — odparł lakonicznie Amanti, wskazując drzwi laboratoryum.

Robert spojrzał na niego pytającym, niespokojnym wzrokiem — lecz profesor jakgdyby zrozumiał jego niemą prośbę, rzucił jeszcze cichym głosem.

— Nie! to niemożliwe!

Alimena nie śmiał nalegać. Tylko kiedy Amanti ujmował skrzynkę, by ją zabrać ze sobą, zapytał, tłumiąc siłą głębokie wzruszenie.

— Co profesor robić będzie? Co z „nią“ się stanie?

— Nic takiego, coby ją uszkodzić mogło — odparł z uśmiechem uczony,

Rzuciwszy te słowa, znikł za drzwiami laboratoryum, które cicho zamknęły się za nim.

Robert pozostał sam, zaniepokojony silnie.

— Co zamierzał uczynić z ręką Amanti? Może zechce ją krajać, czynić anatomiczne doświadczenia?

Była chwila, w której żałował, że powierzył mu ten drogocenny, niepokojący talizman.

Bo jeżeli zniszczy go, lub uszkodzi? Profesor, człowiek nauki, zimny i obojętny niemógł się powodować podobnemi uczuciami jak on sam.

Raz po raz Robert pełen trwogi spojrzenie rzucał na drzwi laboratoryum, ale pozostawały one nadal hermetycznie zamknięte.

Upłynęło parę godzin. Naprężone nerwy młodego człowieka uległy reakcyi. Leżał już teraz bezwładnie wyciągnięty na fotelu, trzymając w ręce niedopalonego papierosa. Dziwna jakaś niemoc i ociężałość ogarnęła go... powieki znużone ciążyły jak z ołowiu.

I nagle, w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewał, drzwi laboratoryum otworzyły się i Silvio Amanti ukazał się, trzymając w ręce czarną skrzynkę.

Twarz jego była spokojna jak zazwyczaj i nie nosiła żadnych śladów zmęczenia. Robert na jego widok otrząsnął się siłą z odrętwienia i powstał.

— Czekałeś długo — rzekł uczony.

— Obojętnem mi to jest — odparł Robert, patrząc uporczywie w jego oczy.

— Chciałem zbadać wszystko.

— Wszystko?

— Wszystko, co możliwem jest do widzenia — dodał powoli Amanti.

— A więc? Umieram z ciekawości, profesorze!

— Bądź spokojny, a dowiesz się. Przedewszystkiem otwórzmy skrzynkę.

I znowu pod wzrokiem Roberta zabłysła dłoń ucięta, mleczna, olśniewającą białością.

— Nie uczyniłem jej nic złego — rzekł profesor, jakby chodziło o istotę żywą.

— Oh! dziękuję!

— Ty jesteś zakochany w tej ręce, prawda?

— Może.

— Należy ona do osoby młodej — oznajmił z powagą profesor — do osoby niemającej więcej jak dwadzieścia pięć lat.

— Skąd wnosić to można?

— Z tkaniny skóry, z żył. Powtarzam ci z całą pewnością, że kobieta ta jest młoda. Jest piękną, to znaczy, że przedewszystkiem cieszy się doskonałem zdrowiem, jak to widać ze skóry, z kształtów ręki, kolorytu paznogci.

— Piękna jest, nieprawdaż?

Jest to kobieta o temperamencie krwistym, nerwowym, zabarwieniu ciała jasnem, włosach prawie czarnych, średniego wzrostu, doskonale zbudowana.

— A oczy? usta? — pytał gorączkowo Robert.

(Ciąg dalszy nastąpi).

**M. STAWISZ.**

# GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

15

I.

— No! dobrze — odezwała się w końcu. — Kiedy mamie tak o tę Olearczykową chodzi, to niechże już czasem tu zajrzy. Może się nawet przydać, bo baba wścibska i ciekawa i słyszy jak trawa rośnie. Ale w kuchni przyjmować i to jak służba wyjdzie, nie tu, w pokojach. Pokazać jej mieszkanie można, niech poleci do Szulców i innych i rozniesie, ale niech mi się w swoich brudnych szmatach na pluszach nie rozsiada, bo wyrzucę.

— No, dobrze, dobrze, zrobię, jak chcesz. I ja czasem do niej ukradkiem zajrzę i ona tu do mnie przyjdzie. A i ty przecież lubisz, jak ci kabałę wystawi, co Kaziu? Pamiętasz, jak na święta wyłożyła ci męża bogatego, z honorami i wszelaką pomyślność w życiu?

— Pamiętam — zaśmiała się udobruchana Kazia. — Niema co mówić. Baba sprytna jest i nie głupia. Ale dopiero oczy otworzy, jak zobaczy to wszystko, co u nas w domu. Jestem pewna, że nawet Szulcowie takiego mieszkania nie mają.

— A pewnie, że nie! — zawołała Gawlikowa. — Mówiła mi przecież Olearczykowa. Cztery pokoje, w salonie zwyczajny orzech, bawełnianym pluszem kryty i dywanów mało i sypialnia byle jaka i kuchnia do niczego, ciemna z podłogą, a u nas wykładana jak malowanka jaka.

— Ale lokaja mają... — powróciła do swojej myśli Kazia.

— A mają — westchnęła Gawlikowa — ale i my mieć będziemy. Pomów ty z ojcem, bo ty pięknie gadać umiesz, ja jutro wszystkie biura obiecę.

Kazia miała już coś odpowiedzieć, ale do jadalni weszła nowo przyjęta kucharka, starsza już nieco, z zuchwałą twarzą, którą łagodził pokorny, oblesny uśmiech.

— Do miasta czas, proszę pani — odezwała się grubym głosem, przenikliwem, badawczem spojrzeniem obejmując Gawlikową i Kazię. — Niech pani zadysponuje, co na obiad...

— To niech już Katarzyna coś obmyśli — pospieszyła wyręczyć matkę Kazia z obawy, aby się nie ośmieszyła zaraz na wstępie przed służącą.

— Ja tam do gotowania, a nie do dysponowania — odparła kucharka. — To pani rzecz. Każde państwo ma jensze kaprysy. Ja tam wiedzieć nie mogę, co komu lubuje.

— Możeby rosołu nastawić — wyrwała się Gawlikowa.

— Rosołu? To się wie, że bez rosołu nijakiej, dobrej zupy zrobić nie można. Ale rosół to jeszcze nie obiad.

Kazia tymczasem siliła się na przypomnienie sobie jakiegoś „menu", wyczytanego z książki.

— Ja już Katarzynie powiem — wyrzekła po chwili, prostując się z godnością. — Niech Katarzyna zrobi rakową zupę, krokiety, tak, tak, to się tak nazywa, filet z szampionami, albo łososia w marynacie i lody... tak będzie dobrze.

— A też panienka wymyśliła! — zaśmiała się na cały głos kucharka. — Chyba panienka żarty sobie ze mnie stroi? Rakową zupę? A skądże ja teraz raków wezmę. Jeszcze nie pora na nie. Co do krokietów, to i owszem. Sama lubię. Zrobi się. I sztufada może być, ale szampionów to chyba po dywanie szukać będę. Lody też by być mogły, ale maszynki nie widzę w kuchni, jak bywa u innych państwa. I wiele innych rzeczy niema. Ja nie zwyczajna tak gotować — rzuciła już hardo, patrząc wyzywająco na zaczerwienioną Kazię.

— To niech Katarzyna weźmie, ile trzeba pieniędzy i pokupi wszystko — pospieszyła ułagodzić ją. — Musiało się zapomnieć na tamtem mieszkaniu.

— Ja tam nie wiem, wiem tylko, że niema nawet maszynki do siekania mięsa, a siekać tasakiem, to ja ani myślę. Dziś na takie sprawunki późna godzina. Trzeba się na pół dnia do miasta zabrać. A dziś to ja już coś ugotuję po własnej myśli, bo widzę, że państwo nie zwyczajne same dysponować obiadów — zaśmiała się kucharka pogardliwie, wychodząc z pokoju. — A proszę mi tam przynieść pieniądze do kuchni, bo ja się przyodziać idę.

Po wyjściu kucharki zapanowało na chwilę przykre milczenie. Kazia zła, nadąsana, spoglądała z pod oka na matkę, aż w końcu wybuchnęła podniesionym głosem:

— Bo też mama wyrwała się z tym rosołem. Dla mamy rosół to już wielka uroczystość. Każda pierwsza lepsza stróżka gotuje go na obiad!

— A tobie znowu raki zaświtały w głowie — odcięła się Gawlikowa, wstając ze złością z kanapy.



— Do miasta czas, proszę pani — odezwała się grubym głosem, przenikliwem, badawczem spojrzeniem obejmując Gawlikową i Kazię. — Niech pani zadysponuje co na obiad..

napy. — Bardziej się kucharka naśmiała z twoich raków niż z mojego rosołu. To porządne, gospodarskie jedzenie. Każdy go je i pan i cham.

— Ta wiedźma obniesie nas po całej kamienicy!

— To się weźmie inną.

— I z drugą znowu będzie to samo.

— Słuchaj Kaziu — przemówiła łagodniej Gawlikowa, podchodząc znowu do otomany. — Nie kłóćmy się naprózno, tylko pomyślmy, aby temu zaradzić.

— Trzeba kupić jaką książkę kucharską — westchnęła Kazia. — Człowiek tak przywykł do ordynarnego jedzenia, że jak przyjdzie coś lepszego obmyśleć, to głupieje. Ale mama niech się jak najmniej wtrąca. Kupię książkę i wyuczę się co to trzeba. Już się drugi raz taka małpa ze mnie nie wyśmieje.

Wieczorem, kiedy nadszedł Gawlik, sprawa przyjęcia lokaja prędko załatwioną została. Gawlik, odkąd wszedł raz na tę drogę, na którą wepchnęła go żona, szedł sam chętnie dalej nie opierając się żadnym podszeptom, czując się bardzo zadowolonym z nowych warunków życia, do których przystosował się bardzo szybko.

Otoczenie, w którem teraz obracał się bez przerwy, zmieniało go powoli. Stał się wesoły, swobodniejszy, w ruchach nabrał pewności siebie, życie kawiarniane bawiło go, budząc w nim pragnienie silniejszych rozrywek, które dotąd były dla niego rzeczą zupełnie nieznaną i niedostępną.

— Tatku, ale jak będziemy mieć lokaja, musisz do nas zaprosić swoich znajomych — prosiła Kazia, podskakując ojcu. Urządzimy wspaniałe przyjęcie z winem, szampanem i tortami z cukierni. Niechże oni raz zobaczą, z kim mają do czynienia. Podniesie cię to w oczach wszystkich, zobaczysz.

— Ależ i owszem — odparł rozochocony Gawlik, rozpierając się szeroko na fotelu. — Ja tam od tego nie jestem! Człowiek dosyć sobie napsuje gardła przy ubijaniu tych interesów, to chętnie sobie przepłuczę kieliszkiem dobrego wina w kółku miłych znajomych. A wy mi się pięknie przybierzcie, żebym się was nie powstydził.

— Niech tato będzie spokojny! — zawołała Kazia zarumieniona z zadowolenia. — Już ja sama się tem zajmę. Niech tato tylko powie Stasi, żeby się zachowywała jak należy i nie stroiła dąsów. Jak wlazła w tę czarną swoją sukienkę, to się już jej pozbyć nie chce. Dobre to było dawniej, jak na inną nie było, ale nie teraz.

— A gdzież to ona jest? — zapytał Gawlik, który dopiero teraz spostrzegł nieobecność młodszej córki.

— A uczy się tam w naszym sypialnym pokoju — rzuciła niechętnie Kazia. — Chciałam, żeby poszła ze mną do krawca przymierzyć ten nowy kostyum, który jest dla niej zamówiony, to się wymówiła brakiem czasu. Jak ona tak robić będzie, to nigdy za mąż nie wyjdzie.

— Czas jeszcze na nią, czas — uśmiechnął się pobłażliwie Gawlik. — Jak zobaczy, że ty masz narzeczonego, to sama o sobie myśleć zacznie. Niech się tam uczy, skoro jej się to tak podoba. Jak gustu do chłopców nabierze, to książki zaraz w kąt pójdą.

Młode to jeszcze i do używania nie nawykłe. Ale i ona pomału się zmieni, zobaczysz. Ale słuchaj no Kaziu — zmienił nagle temat rozmowy Gawlik. — Chcemy przyjąć lokaja, ale umieszczenia dla niego nie mamy. Przecież mu pokoju osobnego nie damy.

— Ja już o tem pomyślałam — odezwała się Gawlikowa, która właśnie w tej chwili weszła do jadalni. — Byłam przed chwilą u stróża. Powiedział mi, że w oficynach na drugiem piętrze jest jakiś pokoik po studencie, który wyjechał. Wynajmie się go dla lokaja i sprawa skończona.

— Ah! jak się to dobrze złożyło — zawołała Kazia uradowana. — Rzeczywiście, nie pomyślałam o tem.

— Będzie to nawet dobrze wyglądać, że mamy osobne pokoje dla służby — oświadczyła Gawlikowa, sadowiąc się wygodnie na otomanie. — Ale z tą Katarzyną to zdaje się, że ja długo nie wytrzymam. Wyobraźcie sobie, byłam w kuchni, aby jej powiedzieć, żeby odegrzała na kolacyę to, co zostało z obiadu, a ona zaraz z gębą na mnie wjechała i powiedziała, że żadnych resztek nie myśli zjadać, że ona przyzwyczajona mieć na kolacyę kawałek świeżego mięsa, albo kawałek szynki, bo odgrzewane jej szkodzi.

— No, trudno, moja kochana, trudno — pocieszał żonę Gawlik. — Wiesz, że u wielkich państwa służyła, to się i rozgrymasić musiała. Ja już niejedno słyszałem o tych kucharkach krakowskich, ale wszyscy to znosić muszą, bo przecież lepsze panie same gotować nie będą.

— Ale bój się Boga! — skarżyła się Gawlikowa, u której oszczędność i liczenie się z każdym groszem stało się już drugą naturą, której się niełatwo pozbyć mogła. — Tyle z półmisków dziś zeszło. Co ona z tem zrobiła? Byłaby jeszcze doskonała kolacya. Ja się jej nawet nie śmiem spytać, gdzie to podziała, bo patrzy na mnie jak na wroga, kiedy wchodzę do kuchni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

# Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

20

— Przyjedzie tutaj do Luksoru, my Lady. Piękny człowiek, bardzo dobry człowiek. Jest wielki jak Ramzes Drugi i bogaty jak Kedyw. Ma pieniędzy o — tyle!

Wyciągnął ramiona, jakby obejmując coś niesłychanie wielkiego.

— Nadchodzi mój pan — dodał, opuszczając ramiona.

Nigel rzeczywiście wracał z ciemnego ogrodu.

— Hulloh! Ibrahim!

— Hulloh! mój panie.

— Dotrzymujesz towarzystwa swej pani, w czasie mej nieobecności. To dobrze.

Ibrahim z uśmiechem cofnął się i poszedł w stronę Nilu, jego złocista szata majaczyła pomiędzy pniami drzew pomarańczowych, poczem znikła w ciemności.

— To był pies ogrodnika — rzekł Nigel, rzucając się na fotel z westchnieniem zadowolenia.

— Kazałem mu nakarmić biedne zwierzę, było wygłodniałe i dlatego do nas przyszło.

— Tak.

— Al-lah! — szepnął, wymawiając ten wyraz jak człowiek Wschodu.

Spojrzał jej w oczy.

— Pierwsze słowo, które cię doszło do Egiptu, Ruby, to pozdrowienie egipskiej nocy. W Nubji, nad wodą, słyszałem tę pieśń często — ale to tak inaczej, teraz!

W ciągu swego złożonego, pełnego przygód życia, Mrs. Armine słyszała miłość w głosie wielu mężczyzn, lecz do tej pory nie słyszała jej pełni w głosie Nigla. Było w nim coś, na co nie wiedziała jak odpowiedzieć, pomimo, że posiadała w wysokim stopniu instynkt kurtyzany, która wie, jaką dać odpowiedź pragnieniom człowieka, którego chce sobie zjednać. Była obowiązaną do tej odpowiedzi. Lecz w Niglu istniał głód, na który nie miała pokarmu. W jaki sposób Nigel go okaże? Już jego demonstracye wystawiały jej usposobienie na próbę, ale tego wieczoru czuła się na krawędzi. Postanowiła jednak tego nie okazać i rzekła bardzo spokojnie.

— Słucham tej pieśni po raz pierwszy, i z tobą, i zawsze ją będę z tobą łączyła.

Przysunął się bliżej do niej, a ona zrozumiała, i mogła odpowiedzieć na pragnienie, które ten ruch wywołało:

— Musimy się napić razem wody Nilu, Ruby — wody Nilu, w rozmaity sposób. Zabiorę cię do Królewskich Grobów i do Kolosu, kiedy słońce zachodzi. A kiedy księżyc wejdzie na niebo, udamy się do Kamaku. Wierzę, że ukochasz to wszystko jak ja ukochałem. Naturalnie nie można przesądzać o czyichś wrażeniach, ale — ale czy myślisz, że kochasz to, zwiedzając wraz zemną?

W głosie jego oprócz zapału i pragnienia, był cień niepokoju, wątpienia o sobie, które u niektórych ludzi, towarzyszą uczuciu miłości.

Pozwoliła wziąść się za rękę, a kiedy zamknął ją w swej dłoni, uczuła fizyczne wzruszenie. Było w Niglu coś, co przyciągało jej zmysły, czasem nawet bardzo silnie.

W życiu, które miało nastąpić będzie się musiała tego wyrzec.

— A któregoś dnia — mówił dalej — któregoś dnia zabiorę cię zobaczyć, jak noc zapada nad Sfinksem, najcudniejszą rzeczą w Egipcie, a może na całym świecie! Możemy to uczynić, jadąc do Fayum, lub wracając, przejeżdżając przez Kair, jak tylko przygotuję dla ciebie mieszkanie.

— Myślisz o wszystkiem, Nigel.

— Czy lubisz, jak o tobie myślę?

— Jeszcze nie było kobiety, któraby tego nie lubiła.

Łagodnie uścisnęła jego rękę i położyła na swych kolanach. Spostrzegła, że patrzy na gwiazdy, i była pewna, że ją z niemi łączy, jak coś idealnego, a przynajmniej jak coś, co z czasem stanie się idealnem.

— Nie jestem gwiazdą — rzekła.

Nic nie odpowiedział.

— Nigiel, nie bądź tak niedorzecznym, żeby myśleć o mnie, jak o gwieździe.

Nigel zwrócił na nią oczy:

— Co mówisz, Ruby?

— Nic.

— Słyszałem, że mówiłaś.

— To był pewnie śpiew żeglarzy. Patrzałam na gwiazdy. Jakie one cudne!

Mówiąc to, lekko się poruszyła, przyczem płaszcz się zsunął, odsłaniając jej biust.

— I jak ciepło.

Spojrzał na jej biust i westchnął, zawahał się i pochylił, jakby chciał złożyć na nim pocałunek.



Na rozległej i ruchliwej, ciemnej przestrzeni, będącej drogą, która wiedzie do dalekich afrykańskich krajów, płynęła feluka, oświecona latarniami.

— Al-lah!

Prawie dziki, nosowy głos śpiewającego żeglarza, który trzymał solową partyę pieśni o Nilu, dochodził wyraźniej ich uszu, i uderzenia darabukkch brzmiały donośniej.

Nigel podniósł głowę, nie złożywszy pocałunku.

— Ci żeglarze są tuż przy ogrodzie — rzekł.

Mrs. Armine owinęła się płaszczem.

— Czy chcesz zejść do rzeki, żeby ich zobaczyć? — dodał.

— Owszem, chodźmy.

Powstała z fotelu śpiesznym, lecz pełnym wdzięku ruchem, oczy jej błyszczały gorączkowo, jakby w odpowiedzi na dzikie głosy żeglarzy. Nigel wziął ją pod rękę i zaczęli schodzić piaszczystą ścieżką, minąwszy nieruchome pomarańczowe drzewa, stanęli nad brzegiem Nilu, gdzie znaleźli Ibrahima, palącego papierosa.

— Gdzie są żeglarze, Ibrahim? — spytał Nigel.

— Płyną tu, mój panie.

Na rozległej i ruchliwej, ciemnej przestrzeni, będącej drogą, która wiedzie do dalekich afrykańskich krajów, płynęła feluka, oświecona latarniami. Odgłos zanurzanych w wodę wioseł mięszał się z głosami ludzi, których niewyraźne sylwetki, jedne leżące, drugie stojące, były napół widoczne dla patrzących na nich z ogrodu.

— Nubijczycy tu płyną.

— Ciekawym, co oni tutaj robią? — rzekł Nigel — i dlaczego płyną w górę rzeki? Czyż to ludzie być mogą?

Ibraim otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz Mrs. Armine spojrzała na niego i nie rzekł słowa.

— Cicho! — szepnęła — chcę słuchać.

To była jakby serenadą, którą Wschód witał ją w Egipcie, jakby głosem tej wielkiej czarnej Afryki, przemawiającem do niej w nocy, z dzikiem naleganiem, lecz zarazem z ostrzeżeniem, by go nie słuchała, nie szła za nim, nie przyjmowała jego barbarzyńskich wezwań. Rodzaj zmysłowego rozmarzenia w niej się obudził, i czuła się silnie podniecona. Nie słyszała już imienia Allaha, lub, jeśli słyszała, nie łączyła go więcej z chrześcijańskiem pojęciem Boga, z pojęciem, które miał o nim Nigel, lecz raczej z dziwacznymi bożkami w ciemnych świątyniach, gdzie zbrodnia zmieszana z nabożeństwem.

Jej wyobraźnia nagle dziko się rozpętała.

Czółno stanęło naprzeciw ogrodu.

— To dla mnie! to z myślą o mnie — mówiła w duchu.

W tej chwili była pewną, że to czółno przypłynęło do ogrodu, bo ona w nim mieszkała, że się zatrzymało, ażeby wiedziała, że muzyka, która ją sprowadziła, była dla niej, nie dla niej i dla Nigla, lecz wyłącznie dla niej. Nigel nie miał z tem nic wspólnego, nie rozumiał znaczenia.

Wreszcie czółno ruszyło, drżące światło na wodzie znikło, głosy odleciały daleko w noc pod gwiazdy, wszystko zostało pochłonięte przez zawsze czujną tajemniczość Egiptu.

— Czy wracamy do willi Ruby — zapytał Nigel trochę niespokojnym głosem.

— Tak. Sądzę, że już pora na spoczynek.

Nigel wziął ją znowu pod rękę i poszli w stronę domu, a Ibrahim uśmiechając się, wciąż patrzał za nimi.

VIII.

W jakie dwa tygodnie później, pewnego poranku Nigel, po spacerze, który zawsze odbywał nad Nilem po zanurzeniu się w rzece, wszedł do pokoju swej żony.

— Ruby — rzekł — zagadnij kogo spotkałem w Luksorze?

W ręku trzymał paczkę listów i dzienników; poczta właśnie nadeszła.

Mrs. Armine w białym, wolnym szlafroczku, który okrywał jej kibić z rozpuszczonemi, jasnemi włosami, siedziała przed lustrem.

— Osobę, którą znamy oboje, Nigel?

Skinął głową.

— Nie magenta z czerwonym kolorem razem?

— Haymanowie — nie, chociaż sądzę, że są tutaj, w Winter-Polace.

— Bóg z nimi — szepnęła lekko marszcząc czoło. — Czy to mężczyzna, czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Mężczyzna? — odwróciła się nagłym ruchem, ujmując poręcz krzesła.

— Nie Mayer Iseacson?

— Iseacson! Na Boga! on nigdy nie daje sobie wakacyi z wyjątkiem w sierpniu. Kochany stary! Nie, to ktoś obojętny tylko — Barondi.

Ręce Mrs. Armine opadły z poręczy krzesła i zwróciła się do lustra.

— Barondi — rzekła, jak gdyby to nazwisko nie miało dla niej żadnego znaczenia.

— Dlaczego robisz tak wielką rzecz z niczego, Nigel.

Wzięła puszek do pudru.

— Myślisz o naszym towarzyszu podróży z Hohenzollern? Co on ma wspólnego z nami?

Nigel przeszedł przez pokój i usiadł na krześle obok lustra, patrząc na żonę. Listy i dzienniki położył na kolanach.

— Jesteś rozczarowaną, Ruby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kronika tygodniowa

Powiedział któryś mędrzec Pański, choć nie wiem który, że „gdy góra nie przyszła do Mahometa, musiał on przyjść do góry“.

Spełniło się to na kronikarzu, który od kilku miesięcy wybierał się ciągle na różne konferencye, a w żaden sposób nie mógł się zdecydować, na którą. Był on zatem górą, a konferencya Mahometem, gdyż nareszcie znalazła się w Krakowie, aby mógł w niej wziąść udział. Mimoto nie wziął go, gdyż nie został zaproszony, a o jej przebiegu wie tylko z komunikatów.

Była to konferencya delegatów rządu polskiego i czeskiego, mających ustalić metody handlu zamiennego między Polską a Czechami w kwestyi dostarczania nam węgli na mocy artykułu siódmego postanowienia Rady ambasadorów w Paryżu, przyznającego Czechosłowacyi śląskie zagłębie węglowe, z zastrzeżeniem, że pewną ilość węgli mają dostarczyć Polakom, aby w zimie nie pomarzli. W zamian za polski węgiel i koks, jaki od nich dostaniemy, mamy im dostarczyć nafty i produktów naftowych.

Radzono długo i głośno, przeszło tydzień, zdawało się już, że się rokowania rozbiją, ostatecznie jednak osiągnięto porozumienie i możemy się cieszyć nadzieją, iż, o ile coś znowu nie stanie na przeszkodzie, będziemy mieć bodaj opał. Czy jednak wystarczy go dla wszystkich, czy tylko dla protegowanych, to już urzędowa tajemnica władz rozdzielających to „czarne dyamenty“. W każdym razie może nas już dziś grzać nadzieja, gdyż obietnica jest, a wiadomo, że „obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo“.

Komunikaty z obrad delegacyi czytywał kronikarz bardzo pilnie, a choć były dość lakoniczne, dowiedział się, że delegaci czescy zamieszkali w Hotelu francuskim, co jest dowodem, że Czesi nie są wobec Koalicyi, zwłaszcza zaś Francyi wrogo usposobieni, że byli w teatrze, zwiedzili Bielany i t. d. Nie napotkał natomiast wzmianki, czy odwiedzili Wieliczkę i to go bardzo cieszy, łatwo bowiem stać się mogło, iż Czesi, widząc, ile tam jest jeszcze soli, gotowi wystąpić z pretensyami, że się im należy. Ponieważ zaś potrafią zawsze wyzyskać nasze krytyczne położenie i z pretensyami swemi występują w chwili, gdy mamy gdzieindziej związane ręce (jak było z Cieszynem...), żądania ich mogłyby uwieńczyć pożądany skutek, gdyż Koalicya bardzo dla nich jest czułą i chętnie uwzględnia tak uzasadnione, jak i nieuzasadnione pretensye.

Wina to zresztą nie Koalicyi, ale zasługa ich dyplomatów, umiejących sprawę przedstawić w należytem oświetleniu, czego, niestety, o naszych powiedzieć nie możemy. Nasi dyplomaci postępują zupełnie tak, jak dawni posłowie z Galicyi do wiedeńskiego parlamentu. Chęci mieli może i bardzo dobre, ale się bali narazić rządowi, który też stale zbywał ich niczem.

Taki Dr Benesz to w samej rzeczy dyplomata pierwszej wody i nie przesadziliśmy bynajmniej, nazywając go w poprzedniej kronice „małym Lloydem George'm“.

Odbywały się w ubiegłym tygodniu aż cztery konferencye, a każda gdzieindziej, wzięcie więc we wszystkich osobistego udziału byłoby połączono z pewnego rodzaju trudnościami. W Krakowie mieliśmy konferencyę węglowo-naftową, w Paryżu polityczną, w Brukseli finansową, w Rydze pokojową, nie mówiąc o mniejszych, jak narady antibolszewickie Rosyan we Wiedniu, delegatów ukraińskich w Londynie i t. d.

We wszystkich zaś tych konferencyach jesteśmy bezpośrednie zainteresowani. W Paryżu była na porządku dziennym sprawa Gdańska i konflikt polsko-litewski, w Brukseli pan Grabski zawiadomił oficyalnie Europę o naszem krytycznem położeniu finansowem (o czem zresztą wszystkie wróble już śpiewają...), najważniejszą dla nas była i jest przecież Ryga i dlatego w tamtą stronę skierowano były wszystkie oczy i cała uwaga polskiego społeczeństwa.

Ale i stamtąd dowiadujemy się bardzo mało i to dopiero drogą pośrednią, a nie z piewszego źródła, jak należałoby sobie życzyć. Telegramy z Rygi zaczynają się zwykle od słów: „Donoszą z Wiednia, za londyńskim *Timesem*, że, według wiadomości, nadesłanych przez Hagę z Helsingforsu, moskiewskie *Iswiestia* komunikują, że na ostatniem posiedzeniu konferencyi delegatów pokojowych w Rydze, przewodniczący Joffe wyraził się, że... i t. d.“

Zanim depesza przejdzie taką drogę, potrzebuje na to czasu, nie jest też wykluczonem, że może komuś na tem zależeć, aby uległa pewnej zmianie. Wszak i Kamieniew, przedkładając Lloydowi George'owi sowieckie warunki pokoju dla Polski, pozwolił sobie na zmiany ich, na własny koszt i odpowiedzialność.

Często też informacye są zupełnie błędne, o czem zresztą wspominaliśmy już poprzednio.

Ale my mamy przecież własną Ajencyę telegraficzną, P. A. T., zapytać się też godzi, dlaczego ona z pierwszej ręki nie zaspokoi naszej, zupełnie zresztą zrozumiałej, ciekawości. Toż przecież rozchodzi się o naszą skórę, bylibyśmy więc bardzo radzi, by się dowiedzieć naprawdę, czy wojna się raz już skończy, czy nie.

A tu, jak na złość, czytamy jednego dnia, że obaj przewodniczący delegacyi pokojowych, to jest Dąbski i Joffe, są zdania, że pokój będzie zawarty i to bardzo rychło, gdyż wyraźnie zastrzegł się Joffe, że mu zależy na pośpiechu, a zaraz następnego dnia dowiadujemy się, że ten sam Joffe ociąga się i umyślnie przewleka obrady, czekając na wynik nowej ofenzywy, przygotowanej przez Trockiego.

Co zatem prawda, tamto pierwsze, czy to drugie?... O ile znamy taktykę rządu sowieckiego, musimy przyjąć to drugie, bo sowiety nie straciły dotąd nadziei, że nam podyktują pokój i to może nawet w Warszawie.

Bardzo niepocieszająco brzmi też pojawiająca się coraz częściej wiadomość o „pokoju za cenę Galicyi wschodniej“.

Wprawdzie w ostatnich chwilach zrezygnował pono rząd sowiecki z tego żądania, ale tylko „na razie“, a takie określenia nic nie mówi, raczej zaś mówi bardzo wiele, sprawa bowiem może już nazajutrz po zawarciu pokoju wejść na porządek dzienny i stać się powodem nowych zawikłań, konferencyi, a może nawet i wojny.

Z Ukrainą, taką, jaką ją chcieliby mieć Ukraińcy, to jest aż po San, dużo jeszcze będzie kłopotu, bo właściwie niewiadomo, kto ma do niej uzasadnione pretensye. W każdym razie Polska nie zgodzi się nigdy na to (a przynajmniej nie powinna), aby byłą Galicyę wschodnią uważać za Ukrainę. Ziemiom, które mogłyby w ostateczności być uznane za „Ukrainę“, Polska prawa do samodzielności nigdy nie odmawiała, dała nawet dowód, że gotowa jej czynnie do tego dopomódz. W każdym razie do pewnych tylko granic i bez narażenia swych interesów.

Z kimże tu jednak mówić o tem, skoro obecnie mamy tylko... trzy Ukrainy: sowiecką Rakowskiego, drugą Petlury i trzecią dyktatora Petruszewicza, nie mówiąc o tem, że i Skoropadzki ma do niej pewne pretensye.

Najpraktyczniej urządza się Petlura, trzymając się z jednej strony Polski, a z drugiej, o ile można wierzyć doniesieniom, zabiegając o nią za naszemi plecami w Berlinie i Londynie, dokąd miał wyjechać pierwszy „ukraiński“ polityk Wassilko, a w jego ślady miał pospieszyć metropolita lwowski, Szeptycki.

Galicya wschodnia miałaby według tej koncepcyi utworzyć nową zupełnie odrębną republikę, Ukrainę zachodnią, zostającą pod opieką Ligi Narodów.

Ta biedna Liga będzie miała z czasem w swej opiece tyle noworodków politycznych, że można ją śmiało porównać z... fabrykantką aniołków. Myśląc o tylu, żadnemu nie poświęci tyle starań, ile im się należy. Zmarnieją biedaki pod jej opieką.

Zapowiadał pan Joffe, że Polska musi się ucieszyć z granic, jakie jej na wschodzie rząd sowiecki przeznaczył, a tymczasem, wysuwając sprawę Galicyi wschodniej, z góry już zaprzecza swym własnym słowom, a, choć się jej w ostatniej chwili zrzeka, ale tylko „na razie“.

Co na starania Wasilki i metropolity Szeptyckiego powie Lloyd George, który jest jeszcze przy głosie, nie wiadomo. W każdym razie z jego strony nie możemy się spodziewać nic dobrego. Przedewszystkiem geografii, o ile to dotyczy tak zwanej Ukrainy, uczył się on z podręczników, wydanych w Wiedniu i Berlinie, a powtóre delegaci będą się mu starali przemówić do serca... naftą borysławską, a na tym punkcie jest on bardzo czuły.

I spełnią się kronikarskie słowa, że z tą sprawą ukraińską będziemy mieli niejeden jeszcze twardy orzech do zgryzienia, a praw swych bronić musimy, choćby to nawet miało się zachodniej Europie nie podobać. Warto, aby ktoś dał jej lekcyę geografii i historyi, ale zupełnie bezstronną, a może zmieniłaby wreszcie swe zdanie.

Gdy kronika znajdzie się w rękach Czytelników, powinno już być po rokowaniach pokojowych. Jaki one wezmą obrót, dziś trudno powiedzieć, to jedno jest pewne, że delegaci polscy okazali żywą chęć zawarcia sprawiedliwego pokoju, a o rosyjskich tego powiedzieć nie można, choć oni właśnie twierdzą, że Polacy dążą do prowadzenia jeszcze kampanii zimowej.

Równocześnie toczą się także rokowania polsko-litewskie w Suwałkach, ale, czy nie skończą się tak, jak poprzednie w Kalwaryi, powiedzieć trudno. Litwa tańczy dziś tak, jak jej Moskwa zagra, a jest to woda na młyn Trockiego, aby nie doszło do zgody między Polakami i Litwinami. Sprawą polsko-litewską ma się zająć Liga Narodów, która przygotowuje już swą delegacyę, złożoną, jak zwykle z ludzi, którzy się na tamtejszych stosunkach zupełnie nie znają i dlatego dają wszelkie gwarancye bezstronności.

Konferencya brukselska zajmuje się natomiast sprawami finansowemi i doszła na razie do przekonania, że cała Europa dziaduje, trzeba zatem pomyśleć o ratunku. Ale to nie pójdzie tak łatwo, zwłaszcza, że każdy z uczestników narad byłby rad przeprowadzić sanacyę stosunków w ten sposób, aby najpierw jemu samemu było dobrze, a potem dopiero może przyjść kolej na resztę. A, że w konferencyi brukselskiej bierze udział ponad trzydzieści państw, trudno będzie wypośrodkować coś takiego, co zadowoliłoby wszystkich. Najlepiej wyjdą na niej zdaje się Niemcy, gdyż nawet Ameryka jest za daniem im pomocy materyalnej, a tego samego zdania jest Anglia i Włochy. Mając tylu i tak poważnych między nimi protektorów, patrzą też spokojnie w przyszłość i ani myślą stosować się do postanowień traktatu wersalskiego. Głównym ich celem jest przekonanie Koalicyi, że bez Śląska Górnego nie byliby w stanie spłacić zobowiązań wojennych, a na tym punkcie jest strona przeciwna gotowa do najdalej idących ustępstw, choćby nawet ze szkodą naszych słusznych praw. Na tem też budują nadzieję. że Śląsk Górny zostanie nadal przy nich. Co do Rady ambasadorów, która odbywała swa posiedzenia w Paryżu i zajmowała się sprawą gdańską, pozytywnego właściwie nic nie wiemy. Pociesza nas jedynie wybór Milleranda na stanowisko prezydenta Francyi ze względu na jego zapewnienie, że całem jego dążeniem będzie przeprowadzenie postanowień traktatu wersalskiego do ostatniego punktu. A traktat ten określa stosunek Polski do Gdańska, choć Niemcy o tem nie chcą ani słyszeć. Twierdzą, że Polakom dostało się tam zawiele, gdy natomiast prasa francuska jest zdania, iż postanowienia traktatowe nie uwzględniają należycie interesów polskich w tym kierunku i że byłyby wskazane poprawki. Za poprawkami są i Niemcy, ale z zupełnie innego punktu widzenia.

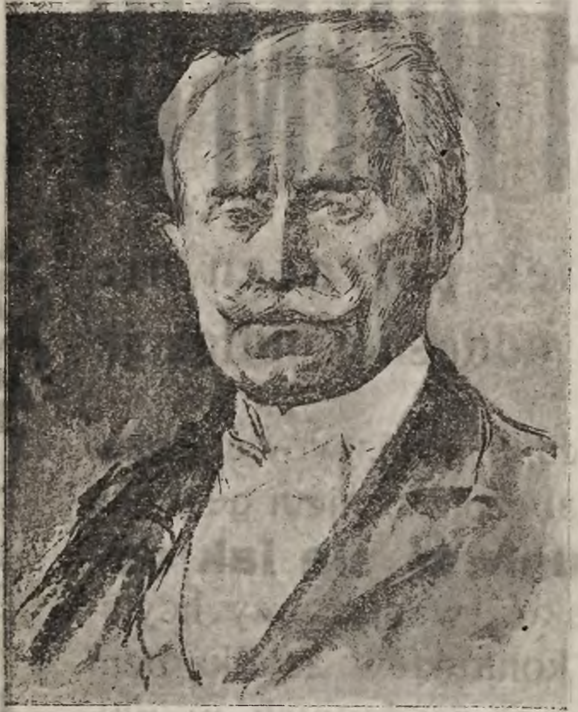
Na której z wspomnianych konferencyi wyjdziemy najlepiej, przyszłość to dopiero okaże. Trzeba zatem czekać cierpliwie, aby się w końcu przekonać, że dostała się nam, jak zwykle, figa i to nawet nie ocukrzona, gdyż cały zapas cukru sprzedaliśmy sąsiadom i protektorom, sami kontentując się sacharyną, kupowaną za drogie pieniądze u Czechów.

Ci Czesi to przecież poczciwy naród!... Ratują nas w biedzie, czem mogą, a za dobre pieniądze sprzedaliby nam i swą duszę, o ile nie znalazłby się ktoś więcej dający.

W każdym razie należy stwierdzić, że, dzięki sukcesom polskiego oręża na Wschodzie, na Zachodzie zyskujemy coraz więcej sympatyi. Nawet niektóre dzienniki niemieckie, które nie tak dawno jeszcze z widocznem zadowoleniem przepowiadały, że dla Polski wybiła ostatnia godzina, zmieniły ton i stwierdzają, że teraz możemy uzyskać takie warunki pokojowe, o jakich nam się jeszcze przed miesiącem „ani nie śniło“. Z słów ich przebija przecież widoczny żal, że się ich poprzednie przepowiednie nie spełniły.

Wogóle Niemcy zaczynają teraz udawać bardzo lojalnych i wobec Koalicyi, głównie zaś Francyi, co każe przypuszczać, że najprawdopodobniej przygotowują jakieś nowe łajdactwo. Jest to ich zwykła taktyka. Zbliżają się z przyjacielskim uśmiechem na twarzy, a w rękawie kryją zatruty sztylet.

Ambasador niemiecki w Paryżu złożył nowemu ministrowi spraw zagranicznych oficyalną wizytę, zapewniając go o szczerości uczuć, a gdy ten oświadczył, że Francya, o ile się przekona, iż Niemcy na serye pragną naprawić to złe, które popełnili, nie odmówi im swego poparcia i nawiąże stosunki bezpośrednie, zaznaczył, że Niemcy mają najszczersze chęci, aby dotrzymać warunków traktatu pokojowego, lecz dodał dyskretnie... o ile to będzie w ich możności. Nie palą więc za sobą mostów, aby mieć drogę do odwrotu. Cóż łatwiejszego, jak znaleźć pretekst, dla którego nie mogli się do traktatu zastosować. Jednym z nich będzie utrata Górnego Śląska, co, jak sami już dają wyraźnie do poznania, uniemożliwi im płacenie odszkodowania wojennego. Zdradą żyli zawsze, zdrada była, jest i będzie ich chlebem powszednim. O lojalności swej zapewniają Francyę, a miesiące całe gościli w Berlinie Enver baszę, który teraz dopiero przedostał się do Rosyi i tam knuje przeciw Koalicyi spiski z przedstawicielami świata muzułmańskiego. Niemcy zostaną takimi samymi i nadal, bo nie stracili wiary w szczęśliwą gwiazdę, która im zawsze świeciła.



**Po wyborze prezydenta Francyi:** Paweł Dechanelle, b. prezydent Republiki francuskiej.

## Po wyborze prezydenta Francyi.

Jak już w poprzednim numerze donieśliśmy, prezydentem Republiki francuskiej obrany został dotychczasowy premier i minister spraw zagranicznych Aleksander Millerand. Wybór jego przyjęto bardzo sympatycznie tak we Francyi, jak i poza jej granicami, z wyjątkiem może jedynie Anglii, której supremacyi nie chciał się Millerand poddać już na poprzedniem swem stanowisku.

Poprzedni prezydent, Paweł Dechanelle, wyprowadził się z Pałacu Elizejskiego zaraz po rezygnacyi, odpadła wobec tego wizyta u niego nowego prezydenta i ceremonia oficyalnego złożenia godności.

Po doręczeniu przez kanclerza Hopitau dekretu, poświadczającego, że z woli narodu został prezydentem Republiki, udał się Millerand do Pałacu Elizejskiego, gdzie odbył przegląd wojska, a potem w Sali Złocistej przyjął dygnitarzy, składających mu życzenia oraz ciało dyplomatyczne. Nastąpiło złożenie wizyt prezydentowi Senatu i Izby deputowanych, poczem Millerand zainstalował się w apartamentach, przeznaczonych dla prezydenta.

Podczas przejazdu ulicami Paryża był nowy prezydent przedmiotem gorących owacyj ze strony ludności. Bezpośrednio po objęciu przezeń stanowiska prezydenta Republiki, nastąpiła też i zmiana w kierownictwie gabinetu. Objął je wraz z teką spraw zagranicznych Leggues, inni członkowie gabinetu zatrzymali nadal swe portfele.

W orędziu swem do narodu francuskiego wskazał Millerand drogi, któremi ma zamiar prowadzić nadal politykę dla dobra Republiki i wyzyskania owoców zwycięskiego zakończenia wojny, która Francyę tyle kosztowała.

Na dotychczasowem stanowisku premiera i ministra spraw zagranicznych dał się Millerand poznać jako wytrawny, umiarkowany i konsekwentny polityk, mający na celu głównie dobro swej ojczyzny. Każdy jego krok cechuje daleko posunięte poczucie sprawiedliwości, czego dał dowody w stosunku do Polski i uznając wbrew Anglii rząd Wrangla za jedynie prawowity w Rosyi. Na stanowisku prezydenta Republiki pozostanie niezawodnie wiernym swym dotychczasowym zasadom, co daje nam gwarancyę, że znajdziemy w nim i nadal życzliwego przyjaciela i poplecznika naszych słusznych praw.

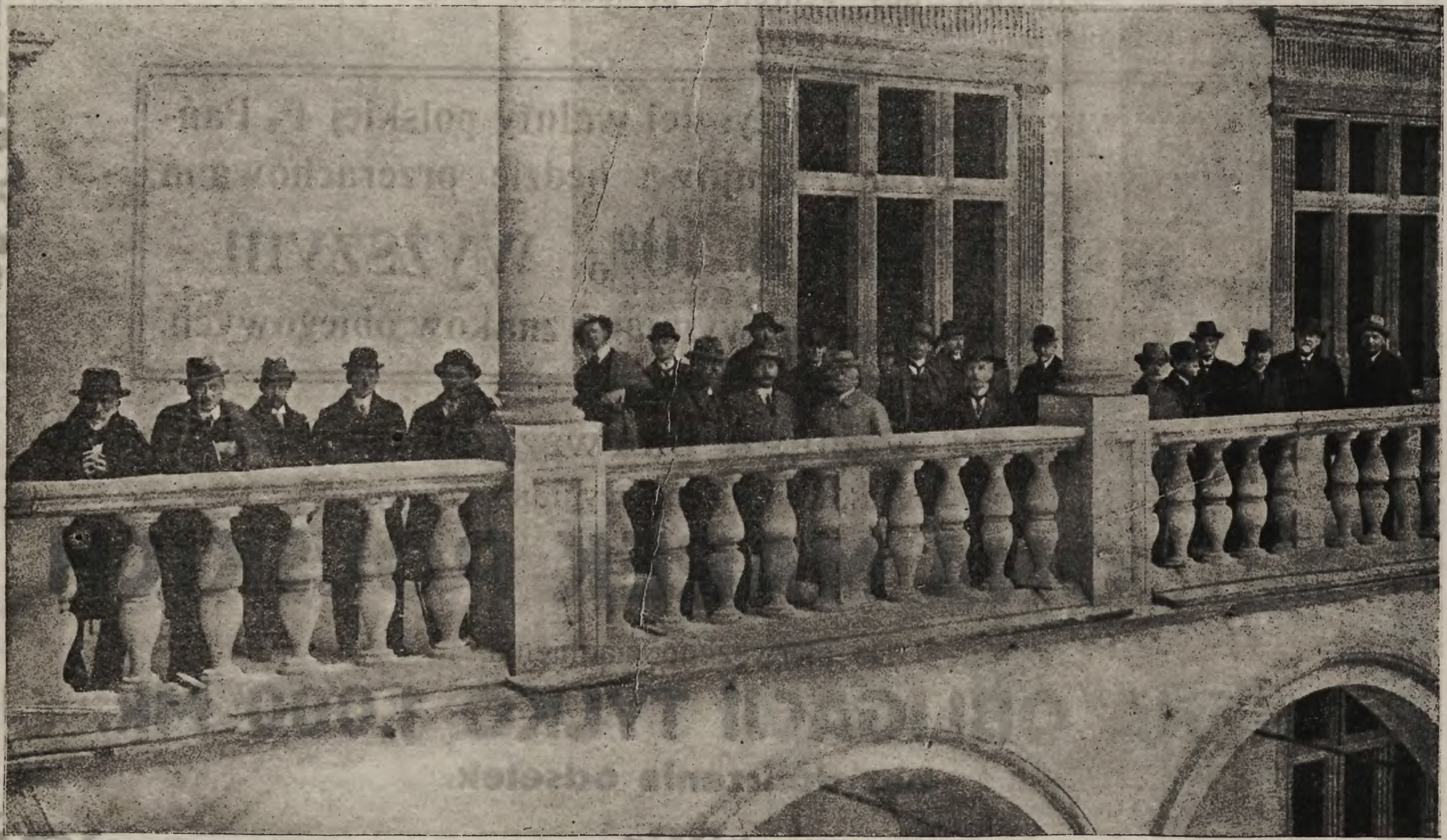
Z sympatyami dla narodu polskiego nie krył się nigdy, ostatnio dał im wyraz w depeszy, dziękującej za nadesłane mu przez naczelnika Piłsudskiego życzenia z okazyi wyboru. Pisze tam między innemi:

„Jestem niezmiernie wzruszony życzeniem znakomitego Naczelnika Państwa, którego talent wojskowy uchronił kraj od inwazyi.

Słusznie wspomina Pan, Ekscellencyo, o moich uczuciach dla Polski, które są uczuciami całej Francyi. Jestem wyrazicielem woli mojego kraju, zwracającego się do Waszej Ekscelencyi z życzeniami dla Jego osoby, oraz z uczuciami, jakie żywię dla wielkości i pomyślnego i pokojowego rozwoju pełnego chwały narodu polskiego“.



**Pięćdziesięciolecie pracy zawodowej:** Jubilat Stefan Strzelbicki, współpr. druk. „Głosu Narodu“.



**O odbudowę Wawelu:** Minister Robót Publ. G. Narutowicz w otoczeniu członków Komitetu odbudowy Wawelu na krużganku zamkowym. — Stoją od lewej ku prawej: Stryjeński, Dr Szyszko-Bohusz intend. Mozer, Wojciechowski, Skórewicz br. Puszet, sekr. Bogdani, Min. Rob. Publ. Narutowicz, Noakowski, Jakimowicz, Gałęzowski, Odrzywolski, Dr Obmiński, Dr Pagaczewski, Minister Henrich, Dr Muczkowski, hr. Piniński, Dr Tomkowicz, Pakies, prez. Federowicz, Dr hr. Mycielski, Car.

## Pięćdziesięciolecie pracy zawodowej.

Pół wieku pracy w zawodzie, to okres czasu tak poważny, że, zwłaszcza w dzisiejszych stosunkach, trudno spotkać jednostki, które mogłyby obchodzić podobny jubileusz. A i zawód zawodowi nie równy. W niektórych z nich praca nie jest zbyt ciężką, nie niszczy też przedwcześnie sił i zdrowia, gdy natomiast inne skraca ją zbyt szybko pasmo żywota. Do tych ostatnich należy piękny, ale ciężki zawód drukarza, który niejednokrotnie traci wzrok, naraża się na szkodliwe wyziewy ołowiu, zawartego w czcionkach.

I dlatego te złote gody z kasztą drukarską należą do takich rzadkości. Tym szczęśliwym, którym danem było doczekać tak pięknej chwili, dodawało sił i odporności zamiłowanie zawodu, któremu się poświęcili.

W dniu 10. października b. r. obchodzą krakowscy towarzysze sztuki drukarskiej podobną uroczystość. Jubilatem jest Stefan Strzelbicki, współpracownik drukarni *Głosu Narodu* i metrampaż tegoż dziennika. Przez lat pięćdziesiąt stał wiernie przy kaszcie, na krok jej nie odstępując, zasłużył też w całej pełni, aby koledzy i przyjaciele uczcili tę długoletnią, cichą a wydatną pracę.

Stefan Strzelbicki, znany w krakowskim świecie drukarskim pod popularną nazwą „Szlachcic", urodził się w roku 1854 w Opatkowicach Murowanych w Piotrkowskiem, skąd rodzina jego, zmuszona wypadkami politycznymi, przeniosła się do Krakowa, gdzie też w r. 1870 wstąpił na praktykę do drukarni „Czasu", ukończywszy w Kielcach cztery klasy gimnazyalne. Wypisany na „towarzysza" w drukarni Uniwersytetu Jagiell., pracował kolejno w drukarni Korneckiego, Związkowej, następnie we Wiedniu, skąd powróciwszy, wstąpił do drukarni *Głosu Narodu*. Pracownik sumienny, zyskiwał wszędzie uznanie, świecąc młodszym przykładem.

Brał też żywy udział w organizacyach zawodowych. W latach ośmdziesiątych zajmował się żywo wskrzeszeniem stowarzyszenia krakowskiego „Ognisko", którego był zawsze jednym z najczynniejszych członków. W rozlicznych stowarzyszeniach piastował różnorakie godności, zdobywając sobie wszędzie taktem, koleżeńskością i uczynnością ogólną sympatyę.

Urządzeniem obchodu jubileuszowego dla jednego ze swych najstarszych i bardzo zasłużonych członków zajęło się „Ognisko", chcąc w ten sposób oddać hołd półwiekowej wytrwałej pracy.

---

## O odbudowę Wawelu.

Jak Kraków jest sercem Polski, tak sercem Krakowa jest Wawel, rezydencya naszych królów, niemy świadek naszej dawnej świetności, ale zarazem i upadku. Te prastare mury, gdyby mówić umiały, powiedziałyby wiele. Z każdym kamieniem, z każdą cegiełką wiąże się tutaj jakieś historyczne wspomnienie.

Rząd austryacki, który tak po barbarzyńsku obchodził się z zabytkami naszej przeszłości, zamieniając je na koszary lub kryminały, nie miał na tyle odwagi, aby zupełnie zniszczyć tę tak drogą sercu polskiemu pamiątkę, starał się przecież zohydzić ją w możliwy sposób i to mu się udało. Wiele lat minie, wiele potrzeba będzie nakładu pracy i wysiłków finansowych, aby wawelskie mury wróciły do dawnej świetności.

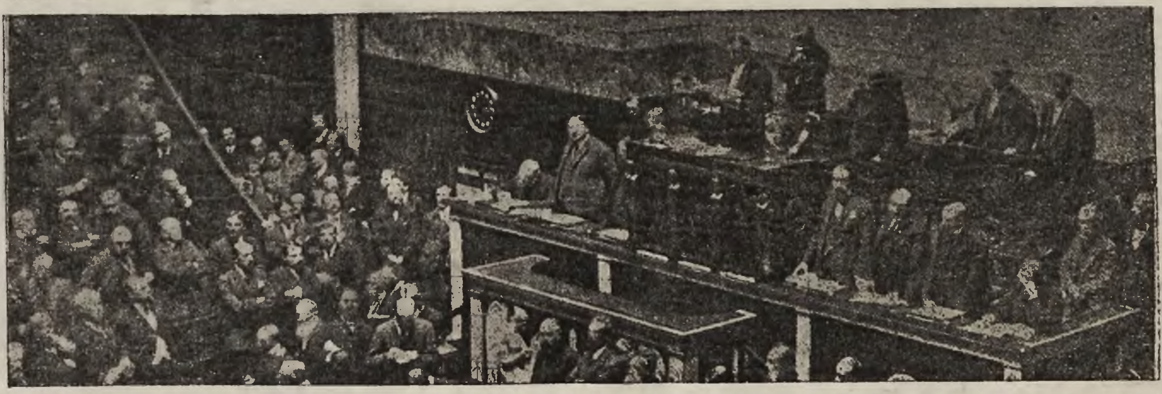
Ojczyzna budzi się do nowego życia, wraz z Nią Wawel powoli, ale stale przybiera nowe kształty, aby daj Boże, jak najprędzej stanąć w dawnej swe krasie i majestacie.

Aby Zamek wawelski uratować od ostatniej zagłady i wypędzić stąd dwugłowe orły, które się tu na dobre rozgospodarowały, wpadł Sejm galicyjski na dobry pomysł, aby budynki wykupić od wojskowości i ofiarować cesarzowi Franciszkowi Józefowi na rezydencyę. Projekt się udał, Wawel został *de facto* własnością kraju. Rozpoczęto restauracyę, która jednak z powodu rozlicznych trudności, z jakiemi podobne przedsięwzięcie musi się z natury rzeczy spotkać, postępuje bardzo powoli, a jeszcze szkodliwiej wpłynąć na nią musiały wypadki wojenne.

Praca przecież nie ustała. Pod umiejętnem kierownictwem tak wybitnej siły, powagi w zawodzie architektonicznym, jaką jest inż. Szyszko-Bohusz posuwa się naprzód powoli, ale stale. Dzisiejszy Zamek nie przypomina w niczem owej zeszpeconej różnymi przybudówkami rudery, jaką zostawili, opuszczając ją Austryacy.

Restauracya Wawelu pochłonęła już miliony, wiele ich jeszcze będzie potrzeba, nim dzieło doprowadzi się do szczęśliwego końca. Obecnie funduszów dostarcza rząd polski, będący z powodu wojny w krytycznem położeniu finansowem. Z ubolewaniem stwierdzić należy, że ogół polski o tej skarbnicy pamiątek narodowych zbyt mało pamięta, a ofiarność prywatna na cele restauracyi równa się... prawie zeru.

3 b. m. o godzinie 10 przed południem zebrał się na Wawelu pod przewod. ministr. Rob. Publ. p. Gabryela Narutowicza, Komitet doradczy do spraw restauracyi Wawelu. Całodzienne obrady skończyły się o god. 6 wieczorem. Po obejrzeniu robót na miejscu i rozpatrzeniu drobniejszych spraw o charakterze technicznym, Komitet wyraził jednogłośnie przychylną opinię co do sprawozdania kierownictwa, dotyczącego wykonanych dotychczas robót, a w szczególności w sprawie tynkowania fasad, oraz wypowiedział się za przedstawionym przez kierownictwo programem robót na przyszłość, przyczem na wniosek hr. Pinińskiego, wyrażono życzenie doprowadzenia w jaknajkrótszym czasie sal zamkowych do stanu umożliwiającego pomieszczenie w nich dzieł sztuki. Na ostatku wyrażono uznanie i podziękowanie dla kierownictwa za dotychczasową pracę na Wawelu.



**Po wyborze prezydenta Francyi**: Prezydent R. Peret odczytuje w Izbie deputow. orędzie ustępującego Deschanelle a.



**Po wyborze prezydenta Francyi**: Nowowybrany prezydent A. Millerand w gronie najbliższej rodziny.

## Od Redakcyi.

**Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.**

# Zagadki do nagrody.

### Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył E. Laskowski, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego powieściopisarza:

```
— os
— ko
— ak
— an
— wa
— oe
— wa
— sa
— ąs
— ęp
— at
— rn
```

### Logogryf.

Ułożył S. Sokołowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę miasta hiszpańskiego:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
  – – ■ – –
    – ■ –
```

*Znaczenie wyrazów*: 1. Spółgłoska, 2. Bożek grecki, 3. Kraj w Afryce, 4. Owad, 5. Samogłoska, 6. Miasto w północnej Europie, 7. Część budynku, 8. Jeden z wybitniejszych bolszewików, 9. Miasto w Galicyi zachodniej, 10. Słabość, 11. Jedna ze stolic europejskich, 12. Dopływ Dunaju.

### Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył H. Karwicki, Zakopane

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, b, e, g, i, m, n, ó, r, r, s, w.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył P. Jowialski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Brytan, żyrafa, tort, w, d.

### Okienko.

Ułożył Roman G., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a   a   e   e   k
k       k       k
n   n   o   o   o
o       o       o
r   s   s   u   u
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Miasto w Galicyi, 2. Ptak pływający, 3. Drzewo z rodziny palm.

### Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a, a, a, a,
a. a, b, d,
d, l, l, o,
w, w, z, z.
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Postać biblijna, 2. Powieściopisarz francuski, 3. Postać z dziejów Hiszpanii, 4. Kanton szwajcarski.

### Zgłoskówka.

Ułożył Polityk z Warszawy.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwisko jednego z wybitniejszych członków Sejmu polskiego:

Zaryte, Oporto, Radomyśl, Porohy, Rawicz.

### REBUS.




### Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył F. Malinowski, Sokołów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znany czterowiersz B. Zaleskiego:

```
-ie----a-ie---a,--o-ia-----e-a,
-a---i----ó--ie--ę--a--o-ie-,
--a---y,--y-ią-o--i---o-ie-,
A-c-c--y,--y u-ie-a!
```

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. U. Niemcewicza: Jan z Tenczyna (powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

## Rozwiązanie zagadek z Nru 39.

**Logogryf:** A, lis, Mexyk, Eli, e, osa, Robak, brama, Mnich, Kongo, Men, s.

**Trójkąt magiczny:** Rodiczew, Olsztyn, Dolina, Ister, cela, Zan, Eu, w.

**Zgłoskówka:** Czerezwyczajka.

**Zadanie na rozsypane litery:** Nie święci garnki lepią.

**Grzebieniówka:** Rota, o, Zola, w, Adam, d, oset, w, sowa, k, Iram.

**Kryształówka:** M, sen, Koral, Mercier, Żmija, bez, r.

**Zadanie do przestawienia:** Pan Tadeusz.

**Rebus:** Przez usta dziecinne anioł niekiedy przemawia.

**Zadanie do uzupełnienia:** Kola, Rawa, Apis, Soła, Zola, Epir, Wola, Soła, Kama, Igor.

**Dobre rozwiązania nadesłali pp.:** M. Kotula Kraków, W. Lasocki Kraków, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, M. Tyczyńska Sambor, M. Kamiński Zakopane, J. Meyer Lwów, D. Rosenbaum Rzeszów, J. Krajewski Kraków, H. Unger Lwów, S. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S Sygowska Rzeszów, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, K. Kucharski Jasło, J. Nowacki Lublin, R. Cislicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, J. Winter Biała, J Sienkiewicz Warszawa, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, M. Hanasiewicz Stanisławów, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Dębska Kraków, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, H. Maciejowska Ostrów, S. Bobowski Radomyśl.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Tyczyńska Sambor (książka), 2) H. Dębska Kraków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.